

PIERWSZA KANTYKA

Brat Francis Gerard z Utah nigdy nie odkryłby świętego dokumentu, gdyby nie pielgrzym w przepasce biodrowej, który zjawił się podczas wielkopostnego czuwania młodego mnicha na pustyni. Brat Francis nigdy dotąd nie widział pielgrzyma z przepaską na biodrach, lecz od pierwszego wejrzenia nabrał pewności, że nieznajomy to istotnie pątnik. Był to wysoki jegomość w słomkowym kapeluszu, z laską w rękę, o bujnej brodzie zabarwionej w okolicy podbródka na żółto. Pielgrzym kulał lekko, na ramieniu niósł mały szawłok, a biodra rzeczywiście miał owinięte kawałkiem porwanego i brudnego płótna konopnego, jedyne odzienia poza kapeluszem i sandałami. Idąc pogwizdywał niemelodyjnie.

Nieznajomy przybył mało uczęszczanym wyboistym traktem z północy i zdawał się kierować do opactwa Braci Leibowitza znajdującego się sześć mil dalej na południe. Pielgrzym i zakonnik dostrzegli się już z daleka na rozległej połaci pradawnych ruin. Przybysz przestał gwizdać i wytrzeszczył oczy, a młody mnich, z powodu pewnych ustaleń reguły samotności dla dni postu, szybko odwrócił wzrok i z powrotem zajął się gromadzeniem wielkich głazów, aby zabezpieczyć swe tymczasowe schronienie przed wilkami. Nieco osłabiony dziesięciodniową dietą z owoców kaktusa brat Francis stwierdził, iż kręci mu się w głowie z wysiłku i że widzi otoczenie jak przez mgłę upstrzoną tańczącymi czarnymi płatkami. W pierwszej chwili nie wiedział, czy nie majaczy z głodu, lecz po chwili brodata zjawa zawołała do niego wesoło:

— Hej, tam!

Głos był miły i dźwięczny.

Reguła milczenia nie pozwoliła młodemu mnichowi odpowiedzieć na powitanie, więc tylko uśmiechnął się lekko, opuściwszy wzrok ku ziemi.

— Czy tędy prowadzi droga do klasztoru? — zapytał wędrowiec.

Nowicjusz skinął głową i sięgnął po przypominający krede odłamek skalny. Pielgrzym zbliżył się do niego.

— Co robisz z tymi wszystkimi kamieniami? — zainteresował się. Mnich ukląkł i pośpiesznie napisał słowa „Samotność i Milczenie” na szerokim, płaskim kamieniu, żeby podróżny — o ile umiał czytać (co było statystycznie mało prawdopodobne) — dowiedział się, iż przywodzi do grzechu pokutnika, i może zechciał łaskawie pozostawić go w spokoju.

— No, trudno — odezwał się pielgrzym. Stał przez chwilę rozglądając się wokół, po czym postukał laską w jeden z dużych kamieni.

— Ten może ci się przydać — oświadczył z nadzieją w głosie i dodał: — No cóż, powodzenia. I obyś znalazł Głos, którego szukasz.

W owej chwili brat Francis nie przeczuł, iż obcy miał na myśli „Głos” z dużą literą, lecz pomyślał, że starzec uznał go za głuchoniemego. Jeszcze raz podniósł wzrok na pielgrzyma, który oddalał się pogwizdując, pobłogosławił go w milczeniu, życząc mu bezpiecznej podróży, i wrócił do swojej roboty, budowy kryjówki wielkości trumny, w której mógłby spać w nocy nie stając się łupem wilków.

Stado pierzastych kumulusów, zdążających, by po okrutnym kuszeniu pustyni obdarzyć wilgotnym błogosławieństwem dalekie góry, przyniosło upragnione wytchnienie od palących promieni słońca i młody zakonnik pracował wytrwale, by ukończyć swoje dzieło, zanim znów odpłyną. Pracował modląc się cicho o uzyskanie prawdziwego Powołania, gdyż taki był cel jego medytacji w czasie postu na pustyni.

Wreszcie podniósł głaz, który wskazał mu pielgrzym.

Nagle krew odpłynęła mu z twarzy. Cofnął się o krok i upuścił głaz, jakby odsłonił jadowitego węża.

Wśród gruzu leżała na pół zmiażdżona zardzewiała metalowa skrzynka...

Mnich ruszył ku niej zaciekawiony, a potem zatrzymał się. Na świecie istniały rzeczy Boże i rzeczy Inne. Przeżegnał się pośpiesznie i wyszeptał krótką łacińską modlitwę do niebios. Pokrzepiony na duchu, zwrócił się znów ku skrzynce.

— *Apage Satanas!*

Pogroził jej ciężkim krzyżem od różańca.

— Idź precz, Podły Kusicielu!

Wyciągnął ukradkiem z wewnętrznej kieszeni habitu maleńkie kropidło i zanim znalazł się mogłoby się zorientować, co zamierza, szybko pokropił je wodą święconą.

— Jeżeli jesteś tworem diabelskim, zgiń, przepadnij!

Lecz skrzynka nie uszła, nie wybuchła ani się nie roztopiła. Nie wydzielala też błuźnierczej posoki. Leżała sobie spokojnie na swoim miejscu, pozwalając pustynnemu wiatrowi wysuszyć święte krople.

— Niech więc tak będzie — powiedział zakonnik i ukląkł, aby wydobyć ją z zagłębienia. Usiadł na ziemi i niemal przez godzinę walił w skrzynkę kamieniem, by ją otworzyć. Przyszło mu do głowy, że takie znalezisko archeologiczne — bo było nim bez wątpienia — może okazać się zesłanym przez niebiosa znakiem jego powołania, lecz odrzucił tę myśl równie szybko, jak się pojawiła. Opat przestrzegł go surowo przed oczekiwaniem jakiegokolwiek spektakularnego osobistego Objawienia. Opuścił przecież klasztor zamierzając pościć i pokutować przez czterdzieści dni, tak by w nagrodę spłynęło nań natchnienie w postaci powołania do zakonu, lecz oczekiwanie widzenia lub głosu wołającego „Francis, gdzie jesteś?”, byłoby prózną arogancją. Zbyt wielu nowicjuszy powracało z czuwania na pustyni z opowieściami o znakach i widzeniach na niebie, toteż zacny opat przyjął wobec nich energiczną linię postępowania. Jedyne Watykan miał prawo decydować o autentyczności takich zdarzeń. „Udar słoneczny nie dowodzi, że godzien jesteś złożyć uroczyste śluby zakonne!” ryczał. I na pewno tylko bardzo rzadko głos Nieba docierał inną drogą niż przez wewnętrzne ucho, objawiając się jako stopniowe narastanie wewnętrznego przekonania.

Lecz mimo to brat Francis, waląc w starą metalową skrzynkę, starał się z nią obchodzić tak ostrożnie, jak to tylko było możliwe.

Pojemnik otworzył się nagle, rozsypując część swej zawartości. Zakonnik przyglądał się jej przez długi czas, nim ośmielił się czegokolwiek dotknąć, i dreszcz podniecenia przebiegł mu po grzbiecie. Prawdziwe antyki! I jako student archeologii nie dowierzał własnym oczom. Brat Jeris zzielenieje z zazdrości, przemknęło mu przez głowę, ale szybko pożałował tej grzesznej myśli i podziękował niebiosom za niezwykley skarb.

Dotknął ostrożnie znalezionych przedmiotów — były wystarczająco realne — i począł je sortować. Studia wyposażyły go w dostateczny zasób wiedzy, by potrafił rozpoznać śrubokręt — urządzenie używane niegdys do wkręcania w drewno cienkich kawałków metalu — oraz cęgi z ostrzami nie większymi od paznokcia, lecz na tyle mocnymi, żeby rozcinać miękkie kawałki metalu lub kości. Leżał tam też dziwny przyrząd o zgnilej drewnianej ręczce i ciężkie miedziane okucie, do którego przywarło kilka blaszek stopionego ołowiu, ale młody mnich nie wiedział, do czego mogły służyć. Obok spostrzegł pierścieniowatą rolkę czarnej lepkiej substancji, zbyt zniszczonej upływem czasu, by umiał ją zidentyfikować. Były tam również dziwne kawałki metalu, tłuczone szkło i duży wybór cienkich cylindrycznych przedmiotów z drucianymi wąsami, w rodzaju cenionym przez górskich pogan jako talizmany i amulety, lecz uważanych przez

niektórych archeologów za pozostałości legendarnej *machina analytica*, pochodzącej rzekomo z czasów Ognistego Potopu.

Wszystkie te przedmioty i jeszcze inne brat Francis zbadał dokładnie i ułożył na szerokim, płaskim kamieniu. Dokumenty pozostawił na sam koniec. Jak zawsze, należały do najcenniejszych znalezisk, gdyż tak niewiele pism przetrwało stopy Wieku Uproszczenia, kiedy nawet święte księgi skręcały się, czerniały i ulatywały z dymem wśród mściwego wycia ciemnych tłumów.

Cenne znalezisko składało się z dwóch dużych złożonych arkuszy papieru i trzech odręcznych notatek. Wszystkie były popękane i pożółkłe ze starości, więc obchodził się z nimi bardzo ostrożnie, osłaniając je od wiatru połą habitu. Dokumenty były niemal nieczytelne i zapisane niedbałą kursywą przedpotopowej angielszczyzny — języka używanego teraz wraz z łaciną jedynie przez zakonników i w świętych obrzędach. Brat Francis odczytywał je powoli, rozpoznając słowa, choć nie miał pewności co do ich znaczenia. Jedna z notatek głosiła: „*Funt pastrami, puszka kiszonej kapusty, sześć bułek dla Emmy*”. Inna nakazywała: *Nie zapomnij przynieść formularza 1040 na dochody wuja*”. Trzecia notatka składała się jedynie z kolumny cyfr z zakreśloną ogólną sumą, od której odjęto inną liczbę, wynik podzielono przez jeszcze inną, po czym następowało słowo „*choleral*” Z tego nie zdołał nic wydedukować, mógł tylko sprawdzić rachunki, które okazały się prawidłowe.

Z dwu większych arkuszy papieru jeden był ciasno zwinięty i począł rozpadać się na kawałki, kiedy młody mnich spróbował go rozwinąć; zdołał odczytać słowa „KUPON GONITWY”, ale nic poza tym. Odłożył go z powrotem do skrzynki do późniejszych prac konserwatorskich.

Drugi większy dokument był złożoną we czworo kartką papieru, której zagięcia okazały się tak kruche, iż brat Francis mógł zbadać tylko niewielki fragment rozchylając nieco brzegi i zaglądając do wnętrza.

Był to rysunek... — siatka białych linii na ciemnym papierze!

Znów dreszcz podniecenia przeszedł mu po grzbiecie. Znalazł schemat — niezwykle rzadki gatunek starożytnych dokumentów, najwyżej ceniony przez badaczy antyku i zazwyczaj najtrudniejszy do wyłożenia przez tłumaczy.

I jak gdyby samo cenne znalezisko nie było już dowodem niezwykłej łaski, w kolumnie słów napisanych w dolnym rogu dokumentu znajdowało się imię założyciela jego zakonu, samego błogosławionego Leibowitza!

Ręce drżały mu ze szczęścia tak bardzo, iż o mało nie podarł cennego dokumentu. Przypomniał sobie pożegnalne słowa pielgrzyma: „Obyś znalazł Głos, jakiego szukasz”. Prawdziwy Głos — *Vox* — z dużą literą, ukształtowaną ze skrzydeł zniżającego lot gołębia, iluminowaną w trzech kolorach na złotym tle — jak w *Vere dignum* i *Vidi aquam* na początku strony Mszału. V, widział to zupełnie jasno, jak w *Focatio* *.

Spojrzał ukradkiem jeszcze raz, żeby się upewnić, iż tak właśnie jest, a potem westchnął: „*Jieate Leibowitz, ora pro me... Sancte Leibowitz, exaudi me*” — ta ostatnia inwokacja była dość śmiała, gdyż założyciel jego zakonu jeszcze nie został kanonizowany.

Zapominając o przestrofach opata szybko wstał i spojrzał poprzez drgające w słońcu powietrze na południe, tam gdzie skierował się stary wędrowiec w przepasce biodrowej z konopnego płótna. Ale pielgrzym dawno już zniknął. Na pewno był to Anioł Boży, jeśli nie sam błogosławiony Leibowitz, bo czyż nie wyjawiał tajemnicy tego cudownego skarbu, wskazując kamień, który należało przesunąć, i cicho wymawiając prorocze pożegnanie?

Brat Francis stał pławiąc się w zbożnym lęku, aż słońce okryło czerwienią szczyty wzgórz i wieczór zagroził mu pochłonięciem przez mrok. Wreszcie drgnął i przypomniał sobie wilki.

* *vocatio* flac.) — powołanie (przyp. tłum.).

Niezwykły dar nie obejmował charyzmatu i poskramiania dzikich zwierząt, więc młody mnich pośpieszył ukończyć budowę schronienia, nim ciemności ogarną ziemię. Kiedy zaświeciły gwiazdy, zakonnik rozniecił ogień i przygotował swój codzienny posiłek z małych czerwonych owoców kaktusa, jedyne dozwolone pożywienie poza garścią prażonej kukurydzy, którą ksiądz przynosił mu co sobotę. Bywało, że patrzył łakomie na jaszczurki biegające wśród skał, a po nocach dręczyły go koszmary żarłoka.

Lecz tamtego wieczoru głód dokuczał mu mniej niż nagły impuls, by pobiec z powrotem do opactwa i opowiedzieć pozostałym braciom o cudownym spotkaniu. Oczywiście było to nie do pomyślenia. Powołanie czy też nie, musi pozostać tu aż do końca postu i postępować tak, jakby nie wydarzyło się nic niezwykłego.

Siedząc przy ognisku, pogrążył się w marzeniach. *Na tym miejscu zostanie wzniesiona katedra.* Widział ją, jak powstaje z ruin starożytnej wioski, jej wspaniałe wieże widoczne na pustyni z odległości wielu mi...

Lecz katedry przeznaczone były dla wielkich rzesz ludzkich, a na pustyni żyły tylko rozproszone plemiona myśliwych i mnisi z opactwa Leibowitza. Ograniczył się więc w marzeniach do kaplicy ściągającej roje pielgrzymów w przepaskach na biodrach... Zdrzemnął się. Kiedy się ocknął, żarzyły się tylko węgle ogniska. Wydało mu się, że coś jest nie w porządku. Czy był zupełnie sam? Zamrugał oczami, wyęzając wzrok.

Spoza garści czerwonych węgli spojrzał na niego wielki ciemnoszary wilk. Zakonnik jęknął i rzucił się w stronę schronienia.

Ten jęk, osądził drżąc ze strachu w kamiennej norze, nie był poważnym naruszeniem reguły milczenia. Leżał tuląc do siebie metalową skrzynkę i modląc się, by dni postu szybko przeminęły, a z zewnątrz dochodził cichy odgłos stąpanieć miękkich łap.

Co noc wilki krążyły wokół obozowiska brata Francisa, napelniając wyciem mrok. Dni zamieniły się w piekielne katusze głosu, gorąca i palących promieni słonecznych. Młody mnich spędzał je na modlitwach i zbieraniu drewna, usiłując zapanować nad zniecierpliwieniem, by doczekać w spokoju wielkosobotniego południa, końca postu i czuwania na pustyni.

Lecz gdy wreszcie nadszedł ów dzień, brat Francis był zbyt głodny, by się cieszyć. Powoli spakował torbę, naciągnął kaptur dla osłony przed słońcem i wziął pod pachę bezcenną skrzynkę. O piętnaście kilo lżejszy i znacznie słabszy niż w środę popielcową, chwiejnym krokiem przebył sześć mil dzielących go od opactwa i wyczerpany do ostatnich granic, padł przed bramą. Bracia, którzy wnieśli go do środka, wykapali, ogolili i namaścili jego wysuszone ciało, donieśli, że brat Francis bez przerwy majaczył w gorączce o zjawie w przepasce biodrowej z konopnego płótna, zwracając się do niej czasami jak do anioła, kiedy indziej zaś jak do świętego; wzywał często imienia Leibowitza i dziękował mu za objawienie świętych relikwi, oraz za kupon wyścigowy.

Wieści o tym przeniknęły do braci zakonnej i wkrótce dotarły też do uszu opata, którego oczy natychmiast zwęziły się w szparki, a mięśnie zuchwy zeszywniały jak skała.

— Przyprowdzić go tu! — ryknął ów zacny kapłan takim tonem, że obecny przy tym kronikarz pomknął jak strzała.

Opat chodził po celi i wrzał gniewem. Nie dlatego, że przeciwny był cudom jako takim, jeżeli zostały należycie zbadane, poświadczone i zatwierdzone; gdyż cuda, chociaż zawsze nie do pogodzenia ze sprawnością administracyjną — a opat był zarazem i administratorem, i kapłanem — tworzyły opokę, na której opierała się jego wiara. Lecz w ubiegłym roku miał do czynienia z bratem Noyenem i jego cudownym stryczkiem, rok zaś wcześniej — z bratem Smirnowem, który w tajemniczy sposób został uleczony z podagry po dotknięciu przypuszczalnej relikwi Leibowitza, a trzy lata temu... Uch! Te wypadki stawały się zbyt częste i zbyt oburzające, aby dalej je

tolerować. Od czasu beatyfikacji Leibowitza ci młodzi głupcy weszli dookoła w poszukiwaniu strzępów cudownych relikwi niczym stado dobrodusznych psów skrobiących do tylnych drzwi raju z prośbą o ochłapy.

Było to całkiem zrozumiałe, ale niemożliwe do zniesienia. Każdy zakon pragnie kanonizacji swego założyciela i raduje się najbliższym nawet świadectwem mogącym przysłużyć się tej sprawie. Ale trzódka opata zbytnio się już rozzuchwaliła i ich żarliwe pragnienie cudów czyniło z Albertyńskiego Zakonu Leibowitza pośmiewisko w Nowym Watykanie. Zdecydował więc, że każdy nowy zwiastun cudów poniesie ich konsekwencje, albo w postaci kary za impulsywną i bezczelną łatwowierność, albo pokuty za dar łaski w przypadku późniejszej weryfikacji.

Do chwili gdy młody nowicjusz zapukał do drzwi jego celi, opat zdążył doprowadzić się do pożądanego stanu krwiożerczego oczekiwania, skrywającego się pod maską obojętności.

— Wejdz, mój synu — szepnął.

— Posłałeś po... — Nowicjusz urwał i uśmiechnął się uszczęśliwiony, ujrawszy na stole opata znajomą metalową skrzynkę. — ...po mnie, ojciec Juanie? — dokończył.

— Tak... — Opat zawahał się, po czym dorzucił zjadliwie: — A może wolałbyś, żebym to ja przychodził do ciebie, odkąd stałeś się taki sławny?

— Och, nie, ojciec! — Brat Francis poczerwieniał i przełknął głośno ślinę.

— Masz siedemnaście lat i jesteś skończonym idiotą.

— Niewątpliwie masz rację, ojciec.

— W jaki sposób możesz usprawiedliwić twoje skandaliczne mniemanie, iż jesteś gotów przyjąć śluby zakonne?

— Nie potrafię dać żadnego usprawiedliwienia, mój nauczycielu i przełożony. Moja grzeszna pycha jest niewybaczalna.

— Przekonanie, iż jest ona tak wielka, że aż niewybaczalna, to przejaw jeszcze większej pychy! — ryknął w odpowiedzi kapłan.

— Tak, ojciec. Zaprawdę, jestem tylko nędznym robakiem.

Opat uśmiechnął się zimno i wrócił do postawy pełnego czujności spokoju. — I jesteś teraz gotów wyrzec się gorączkowych majaceń o aniele, który przybył, aby objawić ci tę... — pogardliwym gestem wskazał metalową skrzynkę. — ...tę stertę rupieci?

Brat Francis przełknął ślinę i zamknął oczy. — Ja — ja obawiam się, że nie mogę się tego wyrzec, panie mój.

— Co?

— Nie mogę zaprzeczyć temu, co widziałem, ojciec.

— Czy wiesz, co cię teraz czeka?

— Tak, ojciec.

— Więc przygotuj się!

Nowicjusz westchnął, podkasął szaty do pasa i pochylił się nad stołem. Zaczynał wyjąć z szuflady gruby liniał z drzewa orzesznika i wymierzył mu dziesięć tęgich razów na gołe pośladki. Po każdym uderzeniu nowicjusz sumiennie odpowiadał „*Deo Gratias!*” za lekcję cnoty pokory.

— Czy t e r a z cofniesz swoje słowa? — zapytał opat, odwijając rękawy.

— Nie mogę, ojciec.

Opat odwrócił się plecami do nowicjusza i milczał przez chwilę. — Więc dobrze — rzucił krótko. — Odejdź. Ale nie oczekuj, że wraz z innymi złożysz uroczyste śluby tej wiosny.

Brat Francis wrócił z płaczem do swojej celi. Inni nowicjusze dołączą do szeregów braci Zakonu Leibowitza, podczas gdy on sam będzie musiał czekać do następnego roku — i spędzić jeszcze jeden post wśród wilków na pustyni w oczekiwaniu na powołanie, o którym sądził, że zostało mu już wyraźnie zesłane.

Po kilku tygodniach młody mnich znalazł wszakże pewną pociechę w okoliczności, iż brat Juan nie mówił całkiem poważnie nazywając jego odkrycie „stertą rupieci”. Nowe znaleziska archeologiczne wzbudziły duże zainteresowanie wśród braci zakonnych, którzy spędzili wiele czasu na czyszczeniu narzędzi, klasyfikowaniu ich, przywracaniu dokumentów do stanu używalności i próbach zrozumienia ich znaczenia. Wśród nowicjuszy krążyła nawet pogłoska, że brat Francis odkrył prawdziwe relikwie błogosławionego Leibowitza — zwłaszcza w postaci schematu noszącego napis OP COBBLESTONE, REQ LEIBOWITZ & HARDIN, upstrzonego kilkoma brązowymi kropkami, które mogły być jego krwią — albo równie dobrze, jak to zauważył opat — plamami po zgniłym ogryzku jabłka. Lecz sam dokument nosił datę Roku Pańskiego 1956, a więc pochodził, o ile można było to stwierdzić, z czasów, w których żył ów czcigodny mąż, lecz jego postać osnuło tyle legend i mitów, że poza kilkoma faktami nie wiedziano o nim nic pewnego.

Opowiadano, że Bóg, chcąc doświadczyć ludzkość, rozkazał mędrcom z tamtej epoki, a wśród nich błogosławionemu Leibowitzowi, udoskonalić diabelską broń i oddać ją w ręce ówczesnych faraonów. I za pomocą takiego oręża człowiek w przeciągu kilku tygodni zniszczył w większości swoją cywilizację i stał z powierzchni ziemi sporą część ludności świata. Po Potopie Płomieni nastąpiły zarazy, szaleństwo i krwawy początek Wieku Uproszczenia, kiedy pozostałe przy życiu resztki ludzkości rozszarpały na kawałki polityków, techników oraz uczonych i spaliły wszystkie archiwa mogące zawierać informacje zdolne jeszcze raz sprowadzić świat na drogę zagłady. Niczego nie darzono tak zajadłą nienawiścią, jak słowa pisanego i ludzi wykształconych. Właśnie w tych czasach słowo „prostaczek” nabrało znaczenia „uczciwy, prawy obywatel”, określanego niegdyś terminem „szary człowiek”.

Aby ująć przed sprawiedliwym gniewem pozostałych przy życiu prostaczków, wielu naukowców i ludzi wykształconych uciekło do jedynego sanktuarium, które próbowało zapewnić im ochronę. Kościół Święty przyjął ich, odział w szaty mnichów, usiłował ukryć przed motłochem. Czasem owo schronienie było bezpieczne, najczęściej jednak nie. Napadano na klasztory, palono archiwa i święte księgi, chwymano i wieszano uchodźców. Leibowitz uciekł do cystersów, złożył śluby, został księdzem i po dwunastu latach uzyskał od Stolicy Apostolskiej pozwolenie na założenie nowego zakonu mającego zwać się „albertynami”, od św. Alberta, nauczyciela Tomasza z Akwinu i patrona uczonych. Nowy zakon miał poświęcić się zachowaniu wszelkiej wiedzy, świeckiej jak i religijnej, a bracia — nauczyć się na pamięć tych ksiąg i pism, jakie udałoby się dla nich przemyścić ze wszystkich stron świata. W końcu Leibowitz został rozpoznany przez prostaczków jako były uczone i poniósł męczeńską śmierć przez powieszenie, lecz założony przezeń zakon przetrwał i kiedy można było znów bezpiecznie posiadać pisane dokumenty, wiele ksiąg odtworzono z pamięci. Jednak pierwszeństwo dano świętym księgom, historii, naukom humanistycznym i społecznym — ponieważ pojemność pamięci zapamiętywaczy była ograniczona, a tylko niewielu braci miało przeszkolenie niezbędne do rozumienia nauk ścisłych. Z ogromnej skarbnicy ludzkiej wiedzy pozostał tylko żaloszny zbiór ręcznie spisanych ksiąg.

Teraz, po upływie sześciu wieków ciemności, mnisi z zakonu Leibowitza nadal przechowywali te księgi, studiowali, przepisywali, i czekali. Nie miał dla nich najmniejszego znaczenia fakt, iż wiedza, którą ocalili przed zagładą, była nikomu niepotrzebna — a w części nawet niezrozumiała. Wiedza trwała w księgach, ocalenie jej było ich obowiązkiem i przechowują ją, nawet gdyby ciemności na świecie miały trwać dziesięć tysięcy lat.

Brat Francis Gerard z Utah powrócił w następnym roku na pustynię i znów pościł w samotności. Jeszcze raz, osłabły i wychudzony, stanął przed obliczem opata, który pragnął wiedzieć, czy uparty nowicjusz nadal twierdzi, że rozmawia z członkami Zastępów Niebieskich, czy też gotów jest wyprzeć się swej opowieści z ubiegłego roku.

— Nic nie poradzę, że to widziałem, nauczycielu — powtórzył chłopak.

I jeszcze raz opat wychłostał go w imię Chrystusa, i ponownie odłożył jego śluby. Jednak tajemniczy dokument, po zrobieniu kopii, został przesłany do seminarium do zbadania. Brat Francis pozostał nowicjuszem i nadal marzył o kaplicy, która pewnego dnia mogłaby stanąć na miejscu jego znaleziska.

— Uparte chłopaczysko! — pinił się opat. — Dlaczego nikt inny nie widział jego głupiego pielgrzyma, jeżeli ów niechlujny jegomość zdążył do opactwa, jak mówił? Jeszcze jeden wybryk młokosa, żeby Advocatus Diaboli mógł krzyżeć o oszustwie. Przepaska biodrowa z konopnego płótna, a jakże!

To konopne płótno niepokoiło opata, gdyż tradycja głosiła, że Leibowitz został powieszony w konopnym worku na głowie zamiast kaptura.

Brat Francis spędził siedem lat w nowicjacie, siedem postów na pustyni i stał się wielce biegły w naśladowaniu głosów wilków. Dla zabawy swych braci przywoływał wilcze stado w pobliże opactwa wyjąc z murów po zapadnięciu zmroku. Za dnia usługiwał w kuchni, szorował kamienne podłogi i kontynuował studia nad starożytnością.

Wreszcie pewnego dnia przybył wierzchem na ośle wysłannik z seminarium, przynosząc radosne wieści. — Wiadomo już — oświadczył — iż dokumenty znalezione w okolicy są autentyczne, jeśli chodzi o czas ich powstania, i że schemat w jakiś sposób był związany z pracami waszego założyciela. Został on wysłany do Nowego Watykanu na dalsze badania.

— Możliwe więc, że jest to prawdziwa relikwia Leibowitza? — zapytał spokojnie opat.

Lecz wysłannik nie chciał angażować się aż tak bardzo i tylko znacząco unióśł brwi. — Mówią, że Leibowitz był wdowcem w czasie gdy złożył śluby zakonne. Gdyby udało się ustalić imię jego zmarłej żony...

Opat przypomniał sobie notatkę z metalowej skrzynki, dotyczącą artykułów spożywczych dla jakiejś kobiety, i również tylko unióśł brwi.

Wkrótce potem wezwał przed swe oblicze brata Francisca. — Mój chłopcze — powiedział rozpromieniony. — Sądzę, iż nadszedł czas, abyś złożył uroczyste śluby. Pragnę cię też pochwalić za twoją cierpliwość i wytrwałość. Nie będziemy już więcej rozmawiali o twoim, hm... spotkaniu z owym, hm, pustynnym wędrowcem. Dobry prostaczek z ciebie. Jeżeli chcesz, możesz uklęknąć, by otrzymać moje błogosławieństwo.

Brat Francis westchnął i padł na ziemię zemdlony. Opat pobłogosławił go i ocucił, po czym pozwolono mu złożyć uroczyste ślubowanie Albertyńskich Braci Leibowitza, w którym zobowiązał się do życia w ubóstwie, czystości, posłuszeństwie i do przestrzegania reguły zakonnej.

Wkrótce przydzielono go do terminu w skrytorium pod kierunkiem starego mnicha imieniem Horner, gdzie niewątpliwie spędziłby resztę życia iluminując stronicę tekstów algebraicznych wzorami z liści oliwki i roześmianych cherubinów.

— Masz do dyspozycji pięć godzin w tygodniu — wykrakał jego leciwy nadzorca — które możesz, jeśli chcesz, poświęcić na realizację zatwierdzonego go własnego projektu. Jeśli nie, przeznaczysz ten czas na przepisywanie *Summa Theologica* i istniejących fragmentarycznych kopii *Encyclopaedia Britannica*.

Młody zakonnik zastanowił się nad słowami zwierzchnika, a potem zapytał:

— Czy mogę poświęcić ten czas na staranne wykonanie pięknej kopii schematu Leibowitza?

Brat Horner zmarszczył brwi z powątpiewaniem.

— Nie wiem, synu — nasz dobry opat jest trochę przewrażliwiony na tym punkcie. Obawiam się...

Brat Francis poprosił go gorąco.

— No więc dobrze — odrzekł niechętnie starzec. — Wygląda mi to na stosunkowo krótkotrwałe zajęcie, a zatem — zezwalam na to.

Młody mnich wybrał najładniejszą jagnięcą skórę, jaką znalazł, i przez wiele tygodni suszył ją, rozciągał i wygładzał kamieniem, aby otrzymać doskonale gładką, śnieżnobiałą powierzchnię. Jeszcze więcej czasu poświęcił na studiowanie w najdrobniejszych szczegółach kopii owego drogiego dokumentu, tak że znał każdą najcieńszą linię i znak w skomplikowanej sieci oznaczeń geometrycznych i tajemniczych symboli. Ślęczał nad nim tak długo, aż z zamkniętymi oczami widział całą tę gmatwaninę. Dodatkowe tygodnie spędził na poszukiwaniu w klasztornej bibliotece jakiegokolwiek informacji, która choć w najmniejszym stopniu umożliwiałaby zrozumienie rysunku.

Brat Jeris, młody mnich, który pracował wraz z Francisem w skryptorium i często drwił z jego cudownego spotkania na pustyni, zajrzał mu przez ramię i zapytał, mrużąc oczy:

— Powiedz mi, proszę, co to znaczy *Tranzystorowy Regulator dla Zespołu Sześć-B*?

— Oczywiście jest to nazwa rzeczy, którą przedstawia ten diagram odparł nieco poirytowany Francis, ponieważ Jeris po prostu przeczytał głośno tytuł dokumentu.

— Na pewno — zgodził się z nim Jeris. — Ale jakąż to rzecz przedstawia ów diagram?

— Nie ulega wątpliwości, że tranzystorowy regulator dla zespołu sześć-B.

Jeris roześmiał się drwiąco.

Brat Francis zaczerwienił się. — Przypuszczam — powiedział — że przedstawia on raczej pojęcie abstrakcyjne niż konkretny przedmiot. Wyraźnie nie jest to rozpoznawalny obraz jakiegoś przedmiotu, chyba że o tak wystylizowanym kształcie, iż dostrzeżenie go wymaga specjalnego przeszkolenia. Moim zdaniem *Tranzystorowy Regulator* jest jakąś abstrakcją wyższego rzędu o wartościach transcendentnych.

— Dotycząca jakiej dziedziny wiedzy? — spytał Jeris z filisterskim uśmiechem na twarzy.

— No... — Brat Francis urwał, po czym mówił dalej: — Skoro nasz Beatus Leibowitz przed wyświęceniem był z zawodu elektronikiem, przypuszczam więc, że pojęcie to odnosi się do zaginionej sztuki zwanej e l e k t r o n i k ą .

— Tak napisano. Ale co było zasadniczym przedmiotem owej sztuki, bracie?

— To również zostało zapisane. Zasadniczym przedmiotem elektroniki był Elektron, który pewne fragmentarycznie zachowane źródło określa jako Negatywny Skręt Nicości.

— Twoja przenikliwość wywarła na mnie wielkie wrażenie — oświadczył Jeris. — A może mógłbyś mi teraz powiedzieć, jak zanegować nicość?

Brat Francis zarumienił się lekko i począł gorączkowo szukać w myślach odpowiedzi.

— Przypuszczam, że zanegowanie nicości powinno dać w rezultacie coś niecoś — ciągnął Jeris. — Wobec tego Elektron musiał być skretem czegoś. Chyba że negacja dotyczy „skrętu”, a wtedy oznaczałoby to „rozkrećenie nicości”, co? — Parsknął śmiechem. — Jacy ci starożytni musieli być mądrzy. Jestem zdania, że jeśli nadal będziesz w tym tkwił, Francisie, nauczysz się rozkrecać nicość, a wówczas Elektron znajdzie się wśród nas. Gdzie byśmy wtedy go umieścili? Może na ołtarzu?

— Nie potrafię tego powiedzieć — odparł zimno Francis. — Jednak wierzę, że Elektron musiał kiedyś istnieć, nawet jeśli nie wiem, jak był skonstruowany i do czego mógł służyć.

Obrazoburca wybuchnął drwiącym śmiechem i wrócił do swojej roboty. Incydent ów zasmucił Francis, lecz nie zachwiał w nim wiary w celowość realizacji jego projektu.

Wkrótce po wyczerpaniu skromnych zasobów informacji biblioteki klasztornej dotyczących zaginionej sztuki założyciela zakonu albertynów, młody mnich rozpoczął przygotowywanie wstępnych szkiców wzorów, jakich zamierzał użyć na swej skórze jagnięcej. Sam diagram, ponieważ jego treść pozostała niezrozumiała, miał być skopiowany jak najdokładniej ze schematu

i nakreślony czarnymi jak węgiel liniami. Lecz litery i cyfry brat Francis zamierzał skopiować pismem bardziej dekoracyjnym i barwnym, a nie prostymi czarnymi literami używanymi przez starożytnych. A tekst zawarty w kwadratowej kolumnie zatytułowanej OPIS SZCZEGÓŁOWY miał zostać rozmieszczony w miły dla oka sposób wokół brzegów dokumentu na zwojach i tarczach podtrzymywanych przez gołębie i cherubiny. Czarne linie diagramu staną się mniej sztywne i surowe, jeżeli przedstawi się ornament geometryczny w formie altanki oraz ozdobi zielonymi pędami winorośli, złotymi owocami, ptakami, a może i przebiegłym wężem. Na samej górze karty znalazłby się symbol Boga w Trójcy Jedynej, a w dole herb Zakonu Albertynów. W taki oto sposób Tranzystorowy Regulator błogosławionego Leibowitza miałby zostać gloryfikowany oraz uczyniony pociągającym zarówno dla oka, jak i dla umysłu.

Kiedy Francis ukończył wstępny projekt kopii, nieśmiało przedstawił go bratu Homerowi dla dalszych sugestii lub aprobaty.

— Widzę — powiedział starzec z odrobiną skruchy w głosie — że twój projekt zajmie znacznie więcej czasu, niż się spodziewałem. Ale... mimo to pracuj nad nim dalej. Ten wzór jest piękny, naprawdę piękny.

— Dziękuję ci, bracie.

Starzec pochylił się niżej i mrugnął porozumiewawczo.

— Słyszałem, iż przyspieszono proces kanonizacji błogosławionego Leibowitza, możliwe więc, że nasz drogi opat mniej niż dotąd martwi się, no, sam wiesz czym.

Oczywiście wszyscy bracia zakonni przyjęli z radością tę szczęsną nowinę. Wprawdzie beatyfikacja Leibowitza została przeprowadzona już bardzo dawno, ale dokonanie ostatecznego kroku — ogłoszenia go świętym — mogło potrwać jeszcze wiele lat, nawet jeśli sam proces był w toku; istniała też możliwość, że Advocatus Diaboli zdoła odkryć dowód, który w ogóle uniemożliwi kanonizację.

Wiele miesięcy po tym, jak zamierzył realizację swego projektu, brat Francis rozpoczął wreszcie pracę na wyprawionej przez siebie jagnięcej skórcie. Zawilość rysunku, wyjątkowa delikatność procesu nakładania pozłoty, wykonanie cienkich jak włos szczegółów diagramu wymagały całych lat wytężonej pracy; a kiedy Francisowi zaczęły dokuczać oczy, mijały nieraz całe tygodnie, zanim ośmielił się nawet dotknąć diagramu z obawy przed popełnieniem choć najmniejszego błędu. Ale powoli, z trudem, starożytny diagram stawał się niezwykle piękny. Bracia w opactwie Leibowitza gromadzili się, by obserwować pracę Francisza i półgłosem wymieniać uwagi, a niektórzy mówili nawet, że samo natchnienie do wykonania czegoś tak pięknego świadczyło o prawdziwości jego spotkania z pielgrzymem, który mógł być błogosławionym Leibowitzem.

— Nie rozumiem, dlaczego nie używasz oddanego ci do dyspozycji czasu na pracę nad jakimś pożytecznym dziełem — tak wszakże brzmiał komentarz brata Jerisa. Ów sceptycznie nastawiony zakonnik poświęcał swój czas na wyrób i zdobienie abażurów z owczych skór do lamp oliwnych w kaplicy opactwa.

Brat Horner, stary mistrz kopista, zachorował. Po kilku tygodniach stało się jasne, iż lubiany przez wszystkich zakonnik leży na łożu śmierci. Wśród powszechnego smutku i żalu opat po cichu mianował brata Jerisa kierownikiem skryptorium.

Mszę żałobną za brata Homera odprawiono na początku adwentu, a doczesne szczątki świątobliwego męża oddano jego rodzinnej ziemi. Następnego dnia brat Jeris poinformował Francisza, że najwyższy już czas, aby przestał się on zajmować dziecinnymi błahostkami i poświęcił pracy godnej mężczyzny. Francis posłusznie owinął cenny projekt pergaminem, zabezpieczył mocną deską, odłożył na półkę i jał wyrabiać abażury z owczej skóry. Nie zaprotestował nawet słowem, lecz zadowolili się myślą, iż któregoś dnia dusza brata Jerisa pójdzie

w ślady brata Homera, by rozpocząć życie, dla którego praca w skryptorium była jedynie pierwszym etapem; a później, o ile taka będzie wola Boga, on, Francis, zdoła ukończyć swój ukochany dokument.

Jednak Opatrzność wcześniej wzięła sprawę w swe ręce. Następnego lata przybył do opactwa pewien monsignor w asyście kilku kleryków i zbrojnej świty jadącej wierzchem na osłach. Oświadczył on, iż przybywa z Nowego Watykanu jako adwokat Leibowitza w procesie kanonizacyjnym, aby zbadać na miejscu dostępne dowody, mogące mieć znaczenie dla sprawy, łącznie z rzekomym objawieniem się błogosławionego patrona zakonu bratu Franci—sowi Gerardowi z Utah.

Powitano monsignora bardzo ciepło, zakwaterowano go w pokojach przeznaczonych dla wizytujących dostojników Kościoła, do posługi dano mu sześciu zakonników spełniających każde życzenie gościa, których ten miał bardzo mało. Otwarto beczki z najlepszym winem, myśliwi chwyтали w sidła najtłustsze przepiórki i szaparale, a co wieczór adwokata Leibowitza zabawiali skrzypkowie i trupa wesołków, chociaż gość nalegał, aby życie w opactwie toczyło się zwykłym trybem.

Trzeciego dnia po przyjeździe dostojnika, opat posłał po brata Francisca. — Monsignor di Simone pragnie cię widzieć — rzekł. — Jeżeli popuścisz wodze wyobraźni, chłopcze, zrobimy z twoich kiszek struny do skrzypiec, ciało rzucimy wilkom na pożarcie, kości zaś pogrzebiemy w niepoświęconej ziemi. A teraz idź i stań przed obliczem tego zacnego kapłana.

Brat Francis nie potrzebował takiej przestrogi. Odkąd ocknął się z gorączkowych majaków po swym pierwszym wielkopostnym czuwaniu na pustyni, nigdy nie wspominał o spotkaniu z nieznanym, chyba że go o to zapytano wprost; nie pozwolił też sobie na dalsze domniemania dotyczące jego tożsamości. Teraz zaś przestraszyło go nieco zainteresowanie wysokich czynników kościelnych tajemniczym pielgrzymem, więc nieśmiało zapukał do drzwi monsignora.

Lecz jego obawy okazały się bezpodstawne. Monsignor di Simone był łagodnym, pełnym taktu dostojnikiem, który wydawał się głęboko zainteresowany drogą życiową młodego zakonnika.

— A teraz opowiedz mi o spotkaniu z błogosławionym założycielem naszego zakonu — poprosił po kilku minutach wstępnych uprzejmości.

— Och, ależ ja nigdy nie mówiłem, że on był naszym błogosławionym Leibo...

— Oczywiście, że nie, mój synu. Mam tu ze sobą relację o tym, uzyskaną z innych źródeł. Chciałbym, żebyś ją przeczytał i albo potwierdził, albo skorygował. — Urwał, by wyjąć jakiś zwój z podróżnej szkatuły, i podał go Francisowi. — Oczywiście moi informatorzy znali całą sprawę tylko ze słyszenia — dodał — i tylko ty dysponujesz wiadomościami z pierwszej ręki, więc pragnę, żebyś skorygował je b a r d z o skrupulatnie.

— Oczywiście. To co się wydarzyło, w istocie było bardzo proste, ojcze.

Lecz już sama grubość zwoju wskazywała, iż relacja oparta na pogłoskach nie była taka prosta. Brat Francis czytał ją z rosnącym lękiem, który wkrótce ustąpił miejsca niekłamanemu przerażeniu.

— Bardzo pobladłeś, mój synu. Czy coś się stało? — zapytał dostojny kapłan.

— To... to... wcale się tak nie odbyło! — wyjąkał brat Francis. — On powiedział do mnie zaledwie parę słów. Widziałem go tylko raz. Zapytał mnie jedynie o drogę do opactwa i postukał w głaz, pod którym znalazłem relikwie.

— Nie było niebiańskich chórów?

— Och, nie!

— I nieprawdą jest, iż miał aureolę i że kobierzec z róż usłał drogę, którą odszedł?

— Bóg mi świadkiem, że nie wydarzyło się nic podobnego!

— No, cóż — westchnął adwokat. — Opowieści podróżników zawsze pełne są przesady.

Wyglądał na zasmuconego, więc Francis pośpieszył z przeprosinami, lecz dostojnik poniechał tego tematu, jakby nie miał on większego znaczenia dla sprawy. — Są inne cuda, starannie udokumentowane — wyjaśnił. — W każdym razie mam dobrą nowinę o zapiskach, które znalazłeś. Znamy imię żony, która zmarła, nim założyciel naszego zakonu złożył śluby.

— Tak?

— Tak jest. Miała na imię Emilia.

Mimo zawodu, jaki sprawiła mu relacja brata Francisca o spotkaniu z pielgrzymem, monsignor di Simone spędził pięć dni na miejscu znaleziska. Towarzyszył mu tłum pełnych zapachu nowicjuszy z opactwa uzbrojonych w kilofy i łopaty. Po szeroko zakrojonych pracach wykopaliskowych adwokat powrócił z niewielkim zbiorem artefaktów i jedną wzdętą blaszaną puszką, zawierającą wysuszoną masę, która niegdyś mogła być kiszoną kapustą.

Przed odjazdem monsignor odwiedził skryptorium i zapragnął obejrzeć wykonaną przez Francisca kopię słynnego schematu. Młody mnich zaprotestował, iż w istocie nie jest to nic godnego uwagi, lecz okazał ją tak skwapliwie, że aż ręce drżały mu z przejęcia.

— Na Boga! — wykrzyknął monsignor — skończ to, człowieku, skończ!

Francis spojrział z uśmiechem na brata Jerisa. Ten odwrócił się szybko; jego kark podejrzanie poczerwieniał. Następnego ranka Francis podjął na nowo pracę nad iluminowaniem kopii, używając do tego złotej folii, gęsich piór, pędzli i farb.

A potem przybył wierzchem na osłach inny orszak z Nowego Watykanu, z pełnym kontyngentem kleryków i uzbrojonych strażników dla ochrony przed rozbójnikami. Na czele gromady stał monsignor z małymi rogami i wystającymi kłami (tak przynajmniej zaklinało się później kilku nowicjuszy), który przedstawił się jako *Advocatus Diaboli*, przeciwnik kanonizacji Leibowitza, i oświadczył, że przyjechał tu, by przeprowadzić dochodzenie — a może, jak napomknął, i ustalić odpowiedzialność — w sprawie niewiarygodnych i histerycznych plotek pochodzących z tego opactwa, które dotarły nawet do wysokich dostojników w Nowym Watykanie. Dał jasno do zrozumienia, że nie będzie tolerował żadnych romantycznych bzdur.

Opat powitał go uprzejmie i zaofiarował mu żelazne łóżko w celi z widokiem na południe, przeprosiwszy go uprzednio za to, że pokoje gościnne niedawno dotknęła plaga ospy. Monsignora obsługiwała własna świta, a jadał on kaszę z ziołami w refektarzu wraz z zakonnikami opactwa.

— O ile się nie mylę, często zdarza ci się tracić przytomność — odezwał się do brata Francisca, gdy nadeszła ta straszna godzina. — Ilu członków twojej rodziny cierpiało na epilepsję lub obłąd?

— Nikt, ekscelencjo.

— Nie jestem żadnym „ekscelencją” — warknął dostojnik. — A teraz wyciśniemy z ciebie całą prawdę. — Ton jego głosu sugerował, iż będzie to prosta i łatwa operacja chirurgiczna, którą już dawno należało przeprowadzić.

— Czy słyszałeś, że dokumenty można sztucznie postarzyć?

Brat Francis o niczym takim nie słyszał.

— Czy wiedziałeś, że żona Leibowitza miała na imię Emilia, a Emma n i e jest zdrobnieniem od Emilii?

Francis nie wiedział o tym, ale przypomniał sobie z czasów dzieciństwa, iż jego rodzice nie przykładali zbyt dużej wagi do tego, jak się do siebie zwracali. — A jeśli błogosławiony Leibowitz wolał nazywać ją Emmą, to jestem pewny...

Monsignor wybuchnął gniewem i zaatakował Francisca orężem semantyki, a gdy zostawił go samego, oszołomiony zakonnik zachodził w głowę, czy rzeczywiście kiedykolwiek widział jakiegoś pielgrzyma.

Przed odjazdem i ten adwokat również zażyczył sobie obejrzeć iluminowaną kopię diagramu, lecz tym razem ręce brata Francisca drżały z lęku, gdy ją wyjmował, znów bowiem mógł grozić mu

nakaz porzucenia dalszej pracy nad ukochanym projektem. Jednak monsignor stał tylko patrząc na dokument, z niejakim trudem przełknął ślinę i z wysiłkiem skinął głową.

— Masz bogatą wyobraźnię — przyznał — ale oczywiście wszyscy wiemy o tym już od dawna, nieprawdaż?

Rogi monsignora natychmiast zmalowały o dobry cal i jeszcze tego samego wieczoru odjechał on do Nowego Watykanu.

Lata płynęły spokojnie, pokrywając zmarszczkami twarze młodych niegdyś braci i srebrząc ich skronie. Odwieczna praca w klasztorze trwała nieprzerwanie, zaopatrując świat zewnętrzny w wąty strumyk wielokrotnie kopiowanych i wciąż na nowo przepisywanych manuskryptów. Brat Jeris miał ambicję zbudowania prasy drukarskiej, lecz gdy opat zapytał go o powody, znalazł on tylko jedną odpowiedź: „Po to, żeby produkować na większą skalę”.

— Ach, tak? A co zamierzasz zrobić z tym całym papierem w świecie, któremu dobrze jest z powszechnym analfabetyzmem? Sprzedawać wieśniakom na podpałkę?

Zawiedziony brat Jeris wzruszył tylko ramionami i skryptorium pozostało przy kałamarzu i gęsim piórze.

Aż wreszcie pewnej wiosny, na krótko przed Wielkim Postem, przybył wysłannik z radosnymi wieściami dla zakonu. Proces kanonizacyjny Leibowitza został zakończony. Wkrótce zbierze się kolegium kardynalskie i już niebawem założyciel Zakonu Albertynów zostanie wpisany do kalendarza świętych. Gdy wszyscy radowali się po ogłoszeniu tej nowiny, opat — zasuszony już i zdzieciniały — wezwał przed swoje oblicze brata Francisca i wycharczał:

— Jego Świątobliwość żąda twej obecności podczas kanonizacji Izaaka Edwarda Leibowitza. Przygotuj się do drogi.

— I nie zemdlej mi tu znowu — dodał gderliwie.

Podróż do Nowego Watykanu miała zabrać co najmniej trzy miesiące, a może i dłużej, gdyż czas jej trwania zależał od tego, jak daleko zdoła dotrzeć brat Francis, zanim banda rozbójników, spotkania z którą i tak nie uda mu się uniknąć, pozbawi go osła. Francis wyruszył samotnie i bez broni. Zabrał ze sobą tylko miskę zebraczą i iluminowaną kopię schematu Leibowitza, modląc się, aby ciemni zbóje mu jej nie odebrali. Niemniej jednak, jako środek ostrożności nosił czarną przepaskę na prawym oku, gdyż nawet sama wzmianka o rzucaniu uroków potrafiła zmusić do ucieczki zgraję przesądnych wieśniaków. Tak uzbrojony i wyekwipowany wyruszył w drogę, posłuszny wezwaniu najwyższego kapłana.

Po dwóch miesiącach z okładem spotkał swego rozbójnika na górskiej drodze wijącej się wśród drzew, a oddalonej od jakiegokolwiek osady. Był to niewysoki mężczyzna, silny jak byk, z błyszczącą łysiną, o szczęce jak granitowa płyta. Stał na środku drogi, rozstawiwszy szeroko nogi i skrzyżowawszy na piersiach potężne ramiona, i obserwował małą postać na osle. Rozbójnik był, jak się zdawało, sam, uzbrojony tylko w nóż, którego nawet nie chciało mu się wyjąć zza pasa. Jego pojawienie się sprawiło pewien zawód bratu Francisowi, gdyż marzył on skrycie o ponownym spotkaniu z pielgrzymem sprzed lat.

— Złaż — odezwał się rozbójnik.

Osiół zatrzymał się. Brat Francis zsunął z głowy kaptur, aby odsłonić opaskę na oku, i dotknął jej palcem. Począł ją powoli unosić, jak gdyby chciał odsłonić coś potwornego. Rozbójnik odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem, który mógłby wydobyć się z gardzieli samego szatana. Francis wymamrotał jakiś egzorcyzm, lecz rozbójnika wyraźnie to nie przestraszyło.

— Wy gaduły w czarnych workach wyświechtaliście ten chwyt już przed wielu laty — oświadczył. — Złaż.

Francis uśmiechnął się, wzruszył ramionami i bez słowa protestu zsiadł z osła.

— Życzę ci dobrego dnia, panie — powiedział wesoło. — Możesz wziąć sobie osła. Myślę, że piesza wędrownka wyjdzie mi na zdrowie. — Uśmiechnął się i chciał ruszyć w dalszą drogę.

— Zaczekaj no — powstrzymał go rozbójnik. — Rozbieraj się do naga. Zobaczymy też, co masz w tym tobołku.

Brat Francis dotknął żebraczej miski i bezradnie rozłożył ręce, ale rozbójnik znowu tylko roześmiał się szyderczo.

— Widziałem już i ten kawał z miską — rzekł. — Ostatni gość, który udawał żebraka, miał pół heklo złota w bucie. A teraz ściągaj łachy.

Brat Francis wystawił na pokaz swoje sandały, po czym jął się rozbierać. Rozbójnik przeszukał jego odzienie, nic tam nie znalazł i rzucił mu je z powrotem.

— A teraz pokaż, co masz w tobołku.

— To tylko dokument, panie — zaprotestował zakonnik. — Ma wartość tylko dla swego właściciela.

— Otwórz to.

Francis usłuchał w milczeniu. Pożłota i barwne ozdoby zabłyśły jaskrawo w promieniach słońca przedzierających się przez gęstwę liści. Rozbójnik otworzył usta. Gwizdnął cicho.

— Jakie śliczne cacko! Moja kobieta na pewno by chciała powiesić toto na ścianie.

Gapił się nadal w milczeniu, aż bratu Francisowi zrobiło się słabo. *Jeżeli wysłałeś go, aby mnie doświadczyć, Panie, modlił się w duchu, pozwól mi umrzeć, jak przystało na mężczyznę, gdyż weźmie on to po trupie Twego sługi, skoro musi tak być.*

— Zwiń mi to — zdecydował nagle rozbójnik, zacisnąwszy zęby z determinacją.

— Panie, proszę cię — odezwał się mnich płaczącym głosem — nie zabieraj człowiekowi owocu pracy jego życia. Przez piętnaście lat iluminowałem ten manuskrypt i...

— Patrzcie no! Zrobiłeś to sam, co? — Rozbójnik odrzucił do tyłu głowę i znów wybuchnął śmiechem.

Francis poczerwieniał. — Nie widzę w tym nic śmiesznego, panie... Dusząc się ze śmiechu, rozbójnik wskazał na niego palcem.

— Ty! Piętnaście lat, żeby zrobić cacko z papieru. Więc tym się zajmujesz. Powiedz mi dlaczego. Daj choć jeden sensowny powód. Piętnaście lat. Ha!

Francis patrzył na niego w osłupieniu i nie mógł wymyślić żadnej odpowiedzi, która zmniejszyłaby pogardę zbója.

Podał ostrożnie dokument. Rozbójnik ujął oburącz cenny arkusz i zrobił ruch, jakby chciał rozedrzeć go na pół.

— Jezus, Maria, Józef! — zakrzyknął rozdierająco mnich i runął na kolana. — Na miłość boską, panie!

Rozbójnik złagodniał nieco i prychnąwszy pogardliwie, cisnął manuskrypt na ziemię.

— Będę walczył z tobą o to.

— Wszystko, panie, wszystko!

Przyjęli postawę do walki. Zakonnik przeżegnał się, przypomniał sobie, że zapasy były kiedyś uświęconym sportem — i z posępną wiarą ruszył w bój.

Po trzech sekundach leżał jęcząc na ziemi, przygnieciony górą mięśni. Ostry kamień, zdawało się, rozcinał mu plecy na dwoje.

— He, he — zarechotał rozbójnik i wstał, żeby zabrać zdobycz. Złożywszy ręce jak do modlitwy brat Francis poczołgał się za nim na kolanach, błagając go ze wszystkich sił. Zbój odwrócił się.

— Myślę, że całowałbyś buty, aby to odzyskać.

Francis zrównał się z nim i żarliwie ucałował jego but.

Tego było już za wiele nawet dla tak twardego osobnika, jak ów rozbójnik. Z przekleństwem cisnął manuskrypt na ziemię i wdrapał się na osła zakonnika. Brat Francis pochwycił cenny dokument i biegł obok zbója, dziękując mu wylewnie i obsypując błogosławieństwami, gdy ten oddalał się na jego osła. Posłał ostatnie błogosławieństwo za znikającą postacią i podziękował Bogu, że istnieją tacy szlachetni rozbójnicy.

A przecież kiedy zbój skrył się wśród drzew, zakonnikowi nagle zrobiło się smutno. Piętnaście lat, żeby zrobić papierowe cacko... Wciąż dźwięczał mu w uszach tamten drwiący głos. Dlaczego? Daj choć jeden sensowny powód.

Francis nie był przyzwyczajony do bezceremonialności świata zewnętrznego, do jego szorstkich obyczajów i opryskliwych zachowań. Drwiące słowa rozbójnika bardzo go poruszyły i szedł dalej, zwiesiwszy głowę. Raz nawet zastanowił się, czy nie rzucić dokumentu w zarośla i zostawić go na pastwę deszczów — lecz ojciec Juan zaaprobował myśl zabrania manuskryptu jako daru, nie mógł więc przybyć z pustymi, rękami. Uspokoiwszy się, powędrował dalej.

Nadeszła dawno oczekiwana godzina. Uroczysta ceremonia rozpoczęła się wokół niego jako wspaniały spektakl dźwięków, pełnych godności ruchów i żywych kolorów w majestatycznej bazylice. I kiedy doskonale nieomylny Duch został w końcu wezwany, jeden z monsignorów — Francis spostrzegł, że był to di Simone, adwokat świętego — wstał i zwrócił się do świętego Piotra, by przemówił ustami Leona XXII. Nakazał jednocześnie zebranym słuchać w skupieniu.

Następnie papież spokojnie obwieścił, że Izaak Edward Leibowitz jest świętym i ceremonia się skończyła. Ów starożytny i nikomu nieznany technik należał teraz do zastępu świętych niebieskich i kiedy chór zaśpiewał *Te Deum*, brat Francis sumiennie pomodlił się do swego nowego patrona.

Jego Świątobliwość wszedł szybko do sali audiencyjnej, gdzie czekał nań brat Francis, zaskakując zupełnie małego mnicha, który na krótki czas stracił mowę. Ukląkł pośpiesznie, by ucałować Pierścień Rybaka i otrzymać papieskie błogosławieństwo. Kiedy wstał, zdał sobie sprawę, że ściska za plecami piękny dokument, jakby wstydził się go. Papież zauważył ten ruch i uśmiechnął się.

— Przyniosłeś dla mnie jakiś dar, synu? — zapytał.

Zakonnik przełknął nerwowo ślinę, tępo skinął głową i wyjął go zza pleców. Namiestnik Chrystusa przez długi czas patrzył z kamienną twarzą na diagram. Z każdą mijającą sekundą bratu Francisowi robiło się ciężiej na sercu.

— To nic takiego — wyjąkał — to nędzny dar. Wstydzę się, że straciłem tak wiele czasu na...

Papież zdawał się go nie słyszeć.

— Czy rozumiesz znaczenie symbolologii świętego Izaaka? — zapytał spoglądając z ciekawością na abstrakcyjny rysunek obwodu tranzystorowego.

Francis pokręcił głową w milczeniu.

— Cokolwiek to oznacza... — zaczął papież i urwał. Uśmiechnął się i zmienił temat rozmowy. Francis został uhonorowany tak bardzo nie dlatego, że zostało wydane jakiegokolwiek oficjalne orzeczenie w sprawie pielgrzyma. Zaproszono go do Nowego Watykanu z powodu roli, jaką odegrał w wydobyciu na światło dzienne bardzo ważnych dokumentów i relikwii świętego, gdyż za takie je uznano, niezależnie od sposobu, w jaki zostały odnalezione.

Francis wymamrotał słowa podziękowania. Papież znów spojrział na barwnie iluminowany diagram. — Cokolwiek to oznacza — powtórzył cicho — ta szczypta wiedzy, chociaż martwa, kiedyś ożyje. — Uśmiechnął się do oniemiałego zakonnika i mrugnął porozumiewawczo. — A my będziemy jej strzegli aż do tego dnia.

Po raz pierwszy brat Francis zauważył, że papież ma dziurę w uroczystej szacie. Faktycznie, to jego odzież była porządnie podniszczona. W kobiercu w sali audiencyjnej miejscami były wytarte dziury, a z sufitu odpadał gips.

Lecz na półkach ciągnących się wzdłuż ścian stały książki. Piękne, kolorowe książki, opowiadające o niezrozumiałych rzeczach, skopiowane przez ludzi, których zadaniem było nie rozumieć, lecz ratować. I książki te czekały.

— Żegnaj, ukochany synu.

I szczupły strażnik płomyka wiedzy powłócząc nogami wracał pieszo do swego opactwa. Serce mu śpiewało, gdy zbliżał się do stanowiska rozbójnika. A gdyby rozbójnika nie było na miejscu, brat Francis zamierzał siedzieć i czekać na jego powrót. Tym razem miał odpowiedź na jego pytanie.

Przełożyła Ewa Witecka